



MEDAL „DZIĘKUJEMY ZA WOLNOŚĆ”

WOLNOŚĆ NASZEGO KRAJU TO BYŁO DZIEŁO TYSIĘCY LUDZI, ICH MYŚLI I CZYNÓW

Zarząd Stowarzyszenia Sieć Solidarności, którego celem jest kultywowanie ideałów i wartości oraz tradycji ruchu społecznego Solidarność, uchwałą z dnia 7 kwietnia 2014 roku ustanowił Medal „DZIĘKUJEMY ZA WOLNOŚĆ”.

Medal ma stanowić symboliczne wyrażenie wdzięczności i podziękowania dla możliwie szerokiego kręgu ludzi, którzy w okresie po 13 grudnia 1981 roku brali udział w tworzeniu wolności, niepodległości, demokratycznej i samorządnej Rzeczypospolitej Polski.

Idea Medalu „Dziękujemy za Wolność” narodziła się w środowisku nowohuckiej Solidarności. Jej przedstawiciele, hutnicy stanowią trzon Stowarzyszenia Sieci Solidarności. Dlatego Medal nie jest wykonany z brązu srebra czy złota ale z stali. Jest to kawałek stalowej blachy grubej na 4 milimetry. Biały napis „Dziękujemy za Wolność” wytrawiony jest typową czcionką. W centralnym miejscu Medalu tłum ludzi, to postacie hutników z fotografii Tadeusza Pikulickiego, z terenu kombinatu Huta Sendzimir (d. Huta im. Lenina) w Nowej Hucie, podczas strajku wiosną 1988 roku.

Nad nimi charakterystyczna polska flaga, fragment logo NSZZ „Solidarność”. Na rewersie Medalu umieszczone jest logo Stowarzyszenia, Marszałka Województwa, Instytutu Pamięci Narodowej oraz logo innych współorganizatorów kolejnej edycji. Na Medalu wygrawerowane będzie nazwisko i imię osoby wyróżnionej oraz numer z ewidencji.

Inicjatywa nadania Medalu może pochodzić od Stowarzyszenia, Marszałka Województwa Małopolskiego, Instytutu Pamięci Narodowej oraz innego Współorganizatora Medalu, którym mogą być także inne organy państwa lub samorządu terytorialnego Województwa Małopolskiego oraz organizacje działające na terenie województwa Małopolskiego, których cele są zbieżne z celami Stowarzyszenia Sieć Solidarności, za zgodą Stowarzyszenia. O nadanie Medalu mogą wystąpić dwie osoby wspólnie, którym nadano Medal wcześniej.

Medal nadaje Kapituła, którą stanowią: Prezes Sieci Solidarności jako przewodniczący oraz członkowie: Wojewoda Małopolski, Marszałek Województwa Małopolskiego, Dyrektor Instytutu Pamięci Narodowej w Krakowie. Do Kapituły Medalu będzie zaproszony Pełnomocnik innego współorganizatora. Medal zostaje przyznany na podstawie Wniosku, zawierającego co najmniej podstawowe dane osobowe

oraz uzasadnienie nadania Medalu a także podpisy osób wnioskujących o nadanie, w imieniu swoim lub reprezentowanych organizacji.

Wręczenie Medalu dokonywane będzie w uroczystej formie, podczas świąt państwowych i samorządowych Województwa Małopolskiego, podczas rocznic oraz innych ważnych dla państwa lub samorządu terytorialnego Województwa Małopolskiego wydarzeń. Poza Medalem, ustanowiono także Plakietę nagrobną, którą będzie można umieszczać na nagrobku, za zgodą rodziny. Wydana będzie także miniatura Medalu.

Autorem projektu jest Jacek Maria Stokłosa
© Stowarzyszenie Sieć Solidarności

Edward E. Nowak – Prezes SSS

Partnerzy: Urząd ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych oraz Prezydent Miasta Nowy Sącz

Medale „Dziękujemy za Wolność”

Kapituła postanowiła przyznać następującym osobom:

**Jan Miłek, ur. 1950 (wyrok 1 r. 10 m-cy),
Józef Słaboń ur. 1949 (wyrok 1 r. 10 m-cy),
Józef Mazurek ur. 1940 (wyrok 1,5 r.)**

Aresztowano ich 14 grudnia 1981 za udział w strajku solidarnościowym w małej firmie, Charsznickiej Odlewni Żeliwa. Udział ten polegał na tym, że Józef Słaboń (sekretarz NSZZ Solidarność) wywiesił na zewnątrz zakładu flagę białą-czerwoną, Józef Mazurek (wiceprzewodniczący) rozlepił plakaty wzywające do strajku a Jan Miłek (przewodniczący) odczytał oświadczenie o ogłoszeniu strajku.

Drugą grupą uhonorowanych medalem są osoby związane z Biuletynem Małopolskim:

ks. Grzegorz Bednarz, śp. Bogdan Niewczas, Leszek Dulba, Grzegorz Siudyla, Zofia Sudelska Mieczysław Sudelski, Adam Troszok

We wcześniejszych edycjach medale Dziękujemy za Wolność otrzymały inne osoby z ekipy Biuletynu: Jerzy Zdrada, Roman Laskowski, Danuta Abrahamowicz, Tadeusz Syryjczyk i Leopold Zgoda.

„Biuletyn Małopolski” – jedno z najważniejszych podziemnych czasopism, wydawanych po wprowadzeniu stanu wojennego. Twórcami i redaktorami pisma byli: Jerzy Zdrada, Danuta Abrahamowicz i Roman Laskowski. Pierwszy numer ukazał się w styczniu 1982 r. Podczas odbioru pierwszego nakładu zostali aresztowani Tadeusz Świdziński, Adam Kramarczyk, Edward Kubisiowski i Grzegorz Jakubowski, którzy w kwietniu 1982 r. zostali skazani

na 3 lata pozbawienia wolności. Pismo jednak było wydawane bez przerwy do końca 1988 r. W sumie ukazało się 72 numery o objętości od 2 do 20 stron w formacie A4 i A5. Nakład poszczególnych numerów wahał się od 7 do 10 tys. egzemplarzy. Od 13 numeru pismo było oficjalnym organem prasowym RKW Regionu Małopolska, a następnie Regionalnego Komitetu „S” Małopolska. W numerach

zamieszczano głównie komunikaty, oświadczenia oraz stanowiska RKW/RKS, a także dokumenty TKK. W numerach 2-10 z 1982 w stopce redakcyjnej podawano: „Adres redakcji znany redakcji”.

Druk „Biuletynu” organizowali w miejscowości Swojczany w domu Zofii i Mieczysława Sudelskich pracownicy naukowcy AGH Bogdan Niewczas (zm. 9 listopada 2015 r.) oraz Leszek Dulba.

BIULETYN WOLNOŚCI

O organizacji druku „Biuletynu”, który jako jeden z nielicznych tytułów ukazywał się przez całe lata 80. XX w. opowiadają ówcześni pracownicy AGH – Bogdan Niewczas i Leszek Dulba.

ADAM GLIKSMAN: Jakie wspomnienia przywołuje Panom 13 grudnia 1981 r?

BOGDAN NIEWCZAS: Pamiętam dokładnie ten dzień. Obudziłem 13 grudnia i przyszedł do mnie do domu chyba Adam Troszek z informacją, żebym się nie pokazywał w Instytucie, bo mogą być jakieś problemy. To był szok kompletny. Wszyscy byli wtedy zdezorientowani – nie działały telefony, w telewizji bez przerwy tylko Jaruzelski na okrągło... Później skrzyknęliśmy się. Działacze „Solidarności” z AGH spotkali się i podjęli decyzję o rozpoczęciu strajku, w którym obaj uczestniczyliśmy. W Krakowie wtedy strajkowały dwie firmy – Huta Lenina i Akademia Górniczo-Hutnicza – oba te strajki zostały przez ZOMO siłowe rozbite (w rzeczywistości strajkowało więcej zakładów pracy – przyp. red.). Z hutą było ciężiej, natomiast do nas wpadli, nabuzowani jakimiś środkami, zachowywali się jak oszalali i kilku ciężko pobili, szczególnie tych śpiących. Wyprowadzili nas w nocy w dwuszeregu na alejkę przed budynkiem C-1. Mieli przygotowane nazwiska tych, których od razu do „internatu” zabrali. Mnie się wtedy udało, bo puścili mnie wolno. Nie poszedłem jednak do domu, tylko na wszelki wypadek do kolegi, bo nie wiedziałem, co mogło się wydarzyć dalej.



LESZEK DULBA: Ja trochę inaczej pamiętam. Już w sobotę 12 grudnia wyjechałem na konferencję, która miała się zacząć w poniedziałek w jakimś ośrodku wczasowym koło Kielc. Zatrzymałem się u moich rodziców we wsi Uniejów w miechowskim i tam zastał mnie stan wojenny. W niedzielę wieczorem pociąg jeździł wtedy jeszcze – wróciłem więc do domu. Wziąłem trochę żywności, bo miałem małe dzieci, a wtedy o wszystko było bardzo ciężko i z tym prowiantem przyszedłem z dworca na Bronowice – tam wtedy mieszkałem, a tramwaje

już nie jeździły. W poniedziałek rano poszedłem na uczelnię do komisji zakładowej, w której panował duży nieporządek. Później spotkaliśmy się i między innymi Bogdan i inni i poprosili, żeby zorganizować zebranie wydziału. Ponieważ ja byłem sekretarzem i zawiadomiłem innych o tym spotkaniu „awansowałem” na SB. W dokumentach SB napisano bowiem, że byłem współorganizatorem strajku na AGH. To był za duży zaszczyt dla mnie, a wynikł stąd, że współpracownik SB, który się tam plątał, doniósł nierzetelnie, że organizowałem protest ogólnouczelniany. W każdym razie dzięki temu zostałem wezwany przez Służbę Bezpieczeństwa na przesłuchanie. Wtedy na tym zebraniu o godz. 9 albo 10 w poniedziałek podjęliśmy decyzję, że przyłączamy się do strajku. Wziąłem sobie z domu rzeczy i koło godz. 13-14 przyszedłem na strajk. Byłem tam do jego rozbitcia. Pamiętam dokładnie, że było to o 3:05. Wygonili nas na zewnątrz pod bibliotekę AGH. Tych ludzi było dosyć dużo i staliśmy tam ok. 2 godzin. Szliśmy całą grupą i wzięli Andrzeja Gołasia i Antoniego Dziwisza. Gołaś pełnił funkcję w związku, natomiast Dziwisza wzięli ze względu na brata (późniejszego kardynała Stanisława Dziwisza – przyp. red.). Po rozwiązaniu strajku grupa dziesięciu, może siedmiu osób poszła do mnie, do hotelu asystenckiego i tam zrobiliśmy sobie coś do jedzenia i tak jak wcześniej z Bogdanem na strajku uzgodniliśmy, postanowiliśmy odtworzyć struktury związkowe.

BN: Już w trakcie strajku postanowiliśmy, że po parę osób na każdym wydziale odejdzie ze strajku, żeby można było odtworzyć te struktury w wypadku, gdyby nas pozamykali. Z każdego instytutu mieliśmy wyznaczyć chyba po jednej osobie. Te osoby opuściły strajk. Z naszego Instytutu pamiętam, że wyszedł Grzesiu Siudyła. Później mój szef pytał się, dlaczego on uciekł ze strajku, nie znając oczywiście szczegółów.

LD: Ja byłem sekretarzem komisji instytutowej, przewodniczącego nie było, bo uciekł wcześniej za granicę, a ja miałem listy osób, więc łatwo było do nich dotrzeć i już do piątku w każdym instytucie powstała komórka „Solidarności” podziemnej, a później w ciągu jakiś dwóch-trzech tygodni w każdym zakładzie. Każdy instytut dzielił się na zakłady i w każdym była komórka „S”. Nasz wydział nosił wtedy nazwę Wydział Maszyn Górniczych.

BN: „Solidarność” podziemna na AGH była

zarządzana przez 12 adiunktów. Ja razem z Andrzejem Gołasiem też byliśmy w tej dwunastce. Mnie po jakimś czasie wydelegowano do regionalnych struktur. Na początku nie wiedziałem, o co chodzi. Dopiero na spotkaniu z tymi strukturami regionalnymi: z Jurkiem Zdradą i Romkiem Laskowskim dowiedziałem się o wydaniu pierwszego numeru „Biuletynu Małopolskiego”. Było to jednak tak nieudolnie zrobione, że wszyscy wpadli z tymi bibułami podczas próby ich odbioru. A ponieważ chcieli to dalej wydawać, to zaproponowali mi zorganizowanie procesu wydawniczego. Przyznam szczerze, że zastanawiałem się nad tym razem z Leszkiem, czy jesteśmy to w stanie opanować. Był co prawda zespół redakcyjny, w którym i ja uczestniczyłem, ale ja miałem za zadanie stworzyć całe to zaplecze techniczne, łącznie z drukiem, dystrybucją, przekazywaniem wszystkich materiałów redakcyjnych do drukarni, itd. Dostaliśmy wkrótce bardzo dobry, wysoko wydajny offset, który przyszedł z Zachodu i który został zainstalowany we wsi Swojczany w obecnym powiecie miechowskim u rodziny Leszka Dulby.

LD: Ten offset został wykradzony z siedziby PAN, gdzie do grudnia 1981 r. służył Komisji Zakładowej „Solidarności”.

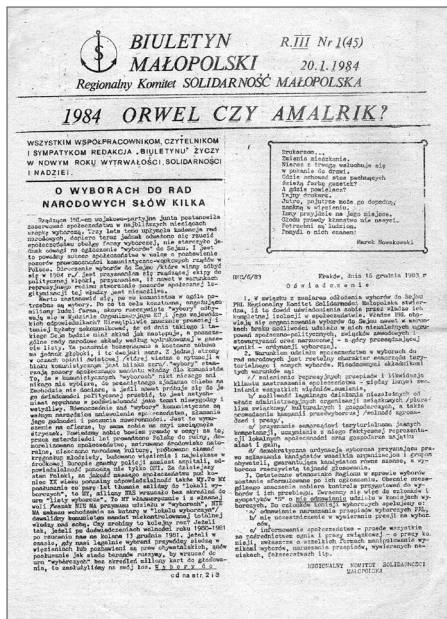
AG: Początki „Biuletynu” i wpadka pierwszego numeru chyba nie zachęcały do podjęcia ryzyka.

LD: Szczerze powiem, że gdy ja organizowałem tę drukarnię, to o tym nie wiedziałem. To i tak nie miałyby zresztą wpływu na moją decyzję.

BN: Gdyby ta drukarnia wpadła, to groziłoby nam nawet 10 lat więzienia, to samo groziło właścicielom domu. Wiedząc jaka to odpowiedzialność, postanowiłem, że o drukarni nikt nie będzie wiedział w redakcji.

LD: Ja z redakcji tylko z Bogdanem się kontaktowałem.

BN: Było to wąskie gardło dla Służby Bezpieczeństwa, bo choć cała redakcja była namierzona – jak sądzę, to bardzo staraliśmy się, żeby nie dowiedziano się, gdzie znajduje się drukarnia. I tak to funkcjonowało, choć mieliśmy różne przygody po drodze, jak to w tamtych czasach bywało. Pamiętam np. jak kiedyś z Leszkiem jechaliśmy moim Wartburgiem, który był cały załadowany papierem – a wiadomo, że wtedy były wielkie problemy ze zdobyciem odpowiedniego papieru i z różnych



źródło go pozyskiwaliśmy – miałem wtedy załadowany cały bagażnik i jeszcze rzyły leżały na tylnym siedzeniu. Jechaliśmy drogą na Warszawę, w stronę Miechowa, a przed nami jechała czarna wołga. Nawet ją przepuściłem, o ile sobie dobrze przypominam. Przed nami pojawił się nagle patrol ZOMO na drodze i machnął – zatrzymała się ta wołga, a oni chcieli chyba nas zatrzymać, ale udało nam się przejechać i dotrzeć do celu. Wydaje mi się, że tam musiały być jakieś przecieki

LD: Na początku, jak przejmowaliśmy maszynę do druku, to nic nie było sztywno ustalone – kto komu i co przekazuje. Mieliśmy jeden samochód i były podane parametry tej maszyny drukarskiej i byliśmy zapewniani, że zmieści się ona do bagażnika fiata 125p. Pojechaliśmy na róg Piastowskiej i Bronowickiej i tam okazało się, że za cholerę to nie zmieści się do bagażnika. Wzięliśmy ją więc na tylne siedzenie, nakryliśmy jakimś kocem i pojechaliśmy do Bronowic, bo tam byliśmy umówieni z Bogdanem. Stanęliśmy w takim ciemnym miejscu, żeby sprawdzić, czy nie jesteście śledzeni i przeładować ją do samochodu Bogdana. Tam już zmieściła się do bagażnika i znowu jak z nią jechaliśmy, to milicja zatrzymała samochód przed nami.

BN: Ja pamiętam jak później przewoziłem tę maszynę z Żarek – bo następne miejsce, gdzie ta drukarnia miała być to właśnie były Żarki-Letnisko koło Częstochowy. Stamtąd przewoził ten ofiset Grzesiu Siudyła. On miał syrenkę, która miała takie szerokie tylne drzwi, że maszyna tam bez problemu „wchodziła”. Przewoził ją na Wołę Justowską. Ja wysiadłem na ul. Opolskiej, a on pojechał na Wołę. I na drugi dzień przychodzi do Instytutu i mówi „W życiu nie prosz mnie więcej, żebym coś przewoził! Nic! Koniec!” A ja pytam: „Co się stało?” A on na to, że jak tylko wyładował tę maszynę i wracał, to zatrzymał go patrol milicji. „Aż mi się gorąco zrobiło, bo myślałem, że coś wiedzą, ale okazało się, że jednak mnie puścili” – opowiadał.

AG: Wracając do samych początków – redakcja „Biuletynu” działała, ale trzeba było znaleźć ludzi, którzy podjęliby się druku.

BN: W cały ten proces było zaangażowanych dwadzieścia kilka osób. To byli ludzie selekcyjowani głównie przez Leszka i przede mnie. Musieliśmy zatwierdzać każdą osobę indywidualnie, bo było to duże ryzyko. Szczególnie obawialiśmy się podstawowych współpracowników lub pracowników SB.

LD: Jeżeli chodzi o te przygotowawcze prace – to byli w to zaangażowani głównie koledzy z AGH. Najtrudniejsza była sprawa z drukarzami. Ja miałem kontakt z Duszpasterstwem Akademickim i tam poznałem Grzegorza Bednarza, do którego miałem zaufanie – on zresztą został księdzem, dominikaninem, obecnie jest świeckim księdzem we Włoszech – i on organizował mi studentów. Dobral ich starannie i sumiennie. On właśnie zorganizował taką grupę ludzi bardzo oddanych. Powstał z nich główny zespół drukarski i pomocniczy. Byli to młodzi, bardzo skromni ludzie, którzy dojeżdżali do drukarni autobusem przez Miechów i Charsznicę. Dobrze się uczyli, nie mieli problemów na uczelni i co ważne... nie mieli też rodzin. My mieliśmy już żony i samo to, że mąż wyjeżdżałby na dzień - dwa dni, nie mówiąc dokąd, rozdziłoby oczywiste pytania i problemy. Nasze żony nic nie wiedziały przecież o drukarni. Zasada była taka, że ten kto nie uczestniczy bezpośrednio w jakimś zadaniu, nie może nic o nim wiedzieć. Druga strona miała przecież swoje wypracowane metody, miała psychologów, którzy potrafili coś z członków rodziny wyciągnąć.

BN: Moja żona wiedziała tylko o sprawach redakcyjnych, ponieważ u mnie w domu nieraz odbywały się spotkania zespołu, ale o sprawach

co się dzieje u sąsiadów. A tu pojawiali się co dwa – trzy tygodnie młodzi ludzie. Po co? Naprzeciwko domu państwa Zofii i Mieczysława Sudelskich mieszkał dodatkowo milicjant, którego się bali. Więc ci młodzi studenci udawali naręczonych, bo ci państwo mieli córkę.

LD: Mieszkała tam jeszcze taka starsza pani po osiemdziesiątce, a tacy ludzie często mało sypiają i właśnie koło jej domu ci nasi drukarze najczęściej wcześniej rano przechodzili. Były to głównie te same dwie osoby, ale czasami zdarzało się rezerwowi, więc rano między 4 a 6 rano wychodziły z domu, gdzie była drukarnia, dwie dziewczyny lub dwóch chłopaków, a to zaczęło zwracać uwagę. Zaczęły się plotki i musieliśmy się przenieść do Żarek. Tam wielu Ślązaków miało domki pobudowane w lesie i w jednym z nich zorganizowaliśmy drukarnię. Tam byliśmy jednak krótko, dwa-trzy miesiące, bo bardzo nam się zaczęła wtedy psuć maszyna. Wróciliśmy więc do Krakowa.

BN: Musieliśmy tam przywozić doświadczonego elektronika-drukacza – zresztą mojego kolegę Jacka Radło, który był zawożony z opaskami na oczach. Nie bardzo mu się to podobało, ale to było podyktowane względami bezpieczeństwa. W razie wpadki i zatrzymania, rzeczywiście nie wiedział, gdzie drukarnia się znajdowała.

AG: A jak wyglądał sam proces przekazywania blach czy matryc?

LD: Maszyny woziliśmy tylko my z Bogdanem i Grzesiu Siudyła. Z blachami był inny system – Bogdan miał takiego kolegę – Adama Troszoka, który w tym czasie te blachy woził i po prostu nie dało się go nie namierzyć.

BN: Pamiętam, że się do niego do mieszkania włamali, szukali pewnie namiaru na drukarnię i bardzo dużo mu ukradli pieniędzy – musiał się potem wycofać z naszej działalności. Wyjechał na rok za granicę – miał brata w Stanach czy w Kanadzie i jakoś się odkuł.

BN: To był Adam Troszok, który obecnie pracuje na ASP. Później po nim przejął tę pracę Wiesiek Romanowski – to był syn siostry kardynała Dziwisza. Maciej Lewandowski zajmował się układaniem matryc.

LD: Potem pomagał nam Zbyszek Kasprzyk. Kilka razy w roku korzystaliśmy z jego usług, a on gotowe blachy zostawiał w umówionym miejscu, m.in. nad windą. Unikaliśmy wtedy bezpośredniego kontaktu między ludźmi, korzystając z schowków.

BN: Z ciekawostek mogę opowiedzieć, że pewnego razu jechałem z blachą w bagażniku Wartburga obok budynku komendy przy Mogiłskiej. Tam jest taka nawrotka. Jechałem do Romana Laskowskiego, teraz nie wiem już po co, i z tej komendy wyjechał cywilny samochód i mnie stuknął i mimo, że to była jego wina, to wolałem stwierdzić, że moja, żeby tylko mi do bagażnika nie zajrzał.



drukarskich nic nie wiedziała.

AG: Przeniesienie druku poza Kraków do Swojczan miało swoje plusy, ale i minusy.

BN: Problem był już z samym dotarciem do tego domu. Był to przecież dom na wsi, gdzie wszyscy się znają i mają zwyczaj obserwowania tego,

AG. A jak to z papierem było.

BN: Głównie ja wozilem, ponieważ moje auto było do tego zaprzęgnięte. Leszek czasem też organizował przewóz papieru, bo wiadomo, że było to podstawowe dobro do powstania gazety. Trudniejsza była sprawa z odbiorem wydrukowanego nakładu. Samochód nieraz stawał dalej od domu, w którym była drukarnia i czasem pani Zofia Sudelska brała sanki i wiozła do samochodu oddalonego np. o kilkaset metrów. Metody były różne. Chodziło głównie o to, żeby nie wzbudzić podejrzeń sąsiadów.

LD: Staraliśmy się, żeby nie odbierać nakładu bezpośrednio z drukarni. Na ogół gospodarz wywoził go sankami albo samochodem. Nie zawsze jednak mieliśmy do dyspozycji samochód. Unikaliśmy cykliczności – aby nie były to te same osoby w krótkim odstępie czasu. Odbieraliśmy to w różnych punktach. Potem wywoziło się nakład do ustalonego punktu, gdzie numery były segregowane. To było w postaci luźnych kartek, które trzeba było pozyskiwać. Potem rozwiozło się to do określonych skrytek, Bogdan podawał mi adresy. Około 200 najlepszych sztuk – bo z jakością tych materiałów było różnie – jakimś drogami dyplomatycznymi było wywożone za granicę. Potem nakład rozwioziliśmy do czterech punktów kolportażowych, których nie znaleźliśmy. Jeden z nich został namierzony i nasz kolega też został namierzony i Grzegorzowi włamali się do domu przy ul. Sądowej. Czekali w tym miejscu, a ponieważ się nie doczekali to włamali się przez dach, bo to było mieszkanie na najwyższym piętrze i zostawili mu książkę z podziemnego wydawnictwa jako ostrzeżenie, żeby sobie dał spokój. Mieliśmy dostać kserograf, który już do nas jechał, ale niestety został przechwycony gdzieś w Szczecinie – nawet o tym w telewizji mówili i go nie dostaliśmy. Gdybyśmy mieli ten kserograf to daliśmy sobie radę, bo to było bezpieczniejsze. Z blachy robiłoby się zmniejszenie z A3 na A4 na tę stronę, którą się zakładało do offsetu, a później to wymagało jeszcze wyżarzenia w odpowiedniej temperaturze. Hartowanie to się chyba nazywało i wylugowania, wybielenia. To już musieliśmy robić sami, bo to było zbyt ryzykowne, by w to angażować inne osoby. Wszystko to robiono taką metodą chałupniczą – ja z Dziwiszem wyżarzałem, wygrzewaliśmy tę blachę nad palnikiem a drukarze to lugowali kwasem fosforowym. Z czasem doszli do wprawy.

BN: Dużym problemem technicznym było robienie matryc w formacie A3. Teksty musiały być napisane bardzo dobrą czcionką na maszynie elektrycznej i te teksty pisały w zasadzie dwie panie – jedna to była pani Janina Jackowska, „dziekanica” Wydziału Maszyn Górniczych i Hutniczych na AGH, jej szefem był profesor Giergiel, który jakby się dowiedział to chyba by jej głowę uciął. Była bardzo oddana i nigdy nie było problemu, gdy ktoś ją poprosił o pomoc. Nigdy nie odmawiała. I druga pani Władysława Snopek, emerytka. One te wszystkie biuletyny pisały. Mieszkały w bloku, a ta maszyna się tłukła dosyć głośno. Ryzyko też było duże, bo kto po nocy pisze na maszynie? Proszę zwrócić też uwagę, na to, że każdy to robił bezpłatnie, z poczucia wewnętrznej potrzeby.

AG. Wydawanie „Biuletynu” trwało do 1988 r., czy oprócz pojedynczych osób, które trzeba było wycofać, była to cały czas ta sama grupa osób?

LD: Tak, to była cały czas ta sama grupa i chyba to jedyny taki przypadek, jeśli chodzi o długość wydawania czasopisma podziemnego bez wpadki. Minusem było to, że ponieważ to wyżarzenie i reszta procesu przygotowawczego była robiona w warunkach domowych, to jakość tego czasopisma nie była dobra. Brakowało kontrastu, były miejsca nieczytelne.

BN: Oddzielnym problemem był zespół redakcyjny i organizowanie jego spotkań. Odbywały się one w bardzo różnych miejscach, a odpowiedzialnym za znalezienie lokalu był Leopold Zgoda, znany działacz „Solidarności”. Spotkania były w przeróżnych miejscach, także w mieszkaniach znanych osób – u pani Marii Osterwy-Czekaj chyba były ze dwa spotkania, u profesora Zbigniewa Chłapa były ze trzy-cztery, a najwięcej spotkań odbywało się na Azorach u takiej pani adiunkt z Akademii Ekonomicznej, której nazwiska nie znam, która w którymś momencie wstąpiła do klasztoru, do benedyktynek. To było na Azorach w bloku i jak ktoś się spóźnił, to nie był już wpuszczany do środka. Kiedyś Jurek Zdrada tam siedział wściekły godzinę czy półtorej pod drzwiami. W końcu ktoś go wpuścił – może nie było słychać pukania, bo walić w drzwi nie można było. Tam odbyło się co najmniej dziesięć spotkań. W zespole redakcyjnym były takie osoby jak: Jurek Zdrada, Roman Laskowski, Tadeusz Syryjczyk, Tomek Studnicki, Leopold Zgoda, Zbigniew Chłap. Redaktorem wszystkich tekstów była pani Aleksandra Orman, która pracowała wtedy w Wydawnictwie Muzycznym.

AG. Czy mieli Panowie czas, by samemu czytać „Biuletyn”?

BN: Tak, oczywiście, ja sam tam też coś opublikowałem, choć głównym moim zadaniem było zabezpieczenie wydania.

LD: Też zawsze czytałem.

AG. Jak „Biuletyn” był postrzegany przez innych?

BN: Od nas „Biuletyn” odbierał m.in. KPN. Nie zapomnę tej osoby, bo nie miałem zaufania do KPN-u, ponieważ było tam wielu współpracowników SB. Zgłosił się taki Jan Janowski, który mieszkał na Dębnikach wówczas. Sam nawet poszedłem do niego do domu, żeby wybać, kto to jest i on miał bardzo dobre zdanie o „Biuletynie” i duże zapotrzebowanie, bo KPN brał od nas chyba 150 sztuk. Basia Niemiec – z nią się spotykaliśmy, bo ona współpracowała chyba z wszystkimi wydawnictwami, jakie ukazywały się u nas w regionie, brała zawsze systematycznie „Biuletyny”, bo miała jakiś swój kanał dystrybucji. Trudno mi trochę mówić jak był odbierany, bo raczej stykałem się z kwestią, czy jest nań zapotrzebowanie, a było. Zresztą w tamtym okresie każda gazeta podziemna była czytana. Mi proponował mój szef – nigdy osobiście, tylko przez inne osoby – że chętnie by widział, gdybym się zwolnił. W ogóle jednak się tego nie obawiałem, bo wiedziałem, że gazeta była wtedy taką bronią, że gdyby ktoś taki fakt opisał, to taka osoba była pod dużym prężerem. To była w sta-

nie wojennym najsukieczniejsza broń – właśnie wydawnictwa podziemne.

LD: U nas w Instytucie z kolei były punkty, do których przychodziła prasa. I co drugi, trzeci raz przychodził do nas „Biuletyn”. Nie przekazywany oczywiście przeze mnie czy Bogdana, ale trafiający innymi kanałami kolportażowymi. Ludzie czytali go bardzo chętnie.

AG. Zdobycie materiałów poligraficznych było trudne, a zarazem kosztowne – jak wyglądało to od strony finansowej?

LD: Jeśli chodzi o papier to studenci bardzo dużo pomagali. Przed długi czas miałem od Bogdana papier – załatwiał przez struktury regionu jakieś 60-70%. Od kolegów też dostawaliśmy papier. Na początku było to niebezpieczne, potem trochę się rozluźniło i wtedy właśnie bardzo dużo mieliśmy od studentów. Kiedyś Jacek Radło miał papier w bagażniku. Zatrzymała go Milicja, kazała otworzyć bagażnik i choć zobaczyli rzy, to powiedzieli, że to ich nie interesuje i go puścili. To było jednak pod koniec lat osiemdziesiątych. Wcześniej jednak tak nie było i taka wpadka mogła sporo kosztować.

BN: Pamiętam jak Mietek Zaniewski z AGH nam też załatwił papier, bo coś nam tam brakowało i go poprosiłem i przywiózł mi cały bagażnik.

LD: Farbę załatwialiśmy przez drukarnie i ze Szwecji. Podałem adres takiego pana z AK, który pracował wtedy w radzie narodowej. Na jego adres przysły dwie paczki z farbą. Były ukryte w opakowaniach po skondensowanym mleku, ale nie uszczelnili tego odpowiednio, woda odparowała i farba była za gęsta, zaklejając nam maszynę. Potem czasami farby kupowaliśmy z państwowych drukarni.

AG. Przychodzi 1988 r. i ukazuje się ostatni numer. Jak to Panowie przyjęliście?

LD: Nie ukrywam, że z ulgą, bo to było porównywalne z prowadzeniem własnej firmy.

BN: Myśmy byli już bardzo zmęczeni, to nam zajmowało prawie tyle samo czasu co praca zawodowa, albo nawet i więcej czasu poświęcaliśmy na pracę podziemną. Bogu dzięki, że nikt nie wpadł i nikt nie siedział – oprócz tych dwóch namierzonych. No i odbywało się to kosztem rodziny, kosztem wolnego czasu, który można było poświęcić np. na zarobienie dodatkowych pieniędzy. Co ważne, myśmy nigdy od tego kuponów nie odcinali, pierwsza informacja oficjalna ukazała się w sierpniu 2012 r. w „Dzienniku Polskim”. Chcieliśmy też chronić ludzi, którzy mieli z tym styczność, a którzy dalej pracowali. W ich interesie nie było, aby przełożeni dowiedzieli się, co pod ich nosem się odbywało. Nie ujawnialiśmy tego.

LD: Wielu naszych współpracowników już odeszło i chcieliśmy ich uhonorować. Wielu z naszych kolegów poszło też do polityki, a my założyliśmy firmy i dobrze prosperujemy. Natomiast uważam, że takie rzeczy powinno się ujawniać i o nich mówić, także dlatego, że jest dziś wąska klika, która wciąż powołuje się na „Solidarność” i wszystko za właszcza, dlatego trzeba to artykułować, gdzie tylko można. To przecież były tysiące zaangażowanych ludzi, często dziś bezimiennych. ■